

**MI
NU
TY**

REPORTAŻE O STAROŚCI

IZA KLEMENTOWSKA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Iza Klementowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

A życie jest bardzo długie.

T.S. Eliot, *Próżni ludzie*
(przeł. Antoni Libera)

I.

Dzieci z plemienia Tsonga od trzeciego do czternastego roku życia mieszkały z dziadkami. Im były starsze, tym częściej podbiebrały im porcje żywniowe. Kiedy starszy Tsonga nie znajdował nic na swoim talerzu, dzieci wybuchały śmiechem.

U Lepczów teściów nazywa się babcią i dziadkiem. Starzy są talizmanami, których należy obdarować prezentami, by w przyszłości przejąć ich zalety. Jednak bezdzietni starcy muszą radzić sobie sami. Pewnemu schorowanemu staruszkowi zadano pytanie: „Czemu, dziadku, nie umrzecie, póki są tu Europejczycy, żeby ktoś był na waszym pogrzebie?”.

Minuty

- To już nie mój dom - powiedziała głośno, zamykając furtkę. I rozplakała się.

Miała siedemdziesiąt cztery lata, kiedy pożegnała się z domem. Wzgórze, na które wdrapywała się przez ostatnie pięćdziesiąt lat, jakby nagle, z dnia na dzień, umarło. Z lipy opadły liście, zawias w drewnianych drzwiach wejściowych w końcu pękł na pół, a wiatr przestał przemykać po korytarzach. Dawniej lubiła nocą wsłuchiwać się w lekki szmer języczków powietrza, którym udawało się przedostać przez nieszczelne framugi starych okien. I zasypiała kojona przez niemrawe podmuchy.

- To tylko budynek, mamó. Cztery ściany i dach. - Córka próbowała ją jakoś pocieszyć. W drodze do samochodu obejmowała ją jak najdelikatniejszą porcelanę. - Ważniejsze są wspomnienia. Pomyśl, ile pięknych chwil przeżyłaś w tym domu, i zabierz tylko je. Mury zostaw, niech służą teraz komuś innemu.

Broda jej drżała, nie potrafiła wydobyć z siebie słowa, dlatego w myślach powtarzała sobie: „Tak, wspomnienia, tego będę się trzymać”.

- U nas poczujesz się lepiej, będziesz z rodziną, wśród swoich ludzi, przy mnie, przy wnukach. Już nigdy nie będziesz

sama. – Córka nie przestawała mówić. – Skończy się wreszcie to noszenie ciężkich wiader z wodą, rąbanie drewna, kopanie ogródka. Przecież ty już sił nie masz na to wszystko. Sama tak niedawno powiedziałaś, pamiętasz? My też nie możemy przyjeżdżać do ciebie codziennie, choćbyśmy nie wiem, jak bardzo tego chcieli. Dwie godziny w jedną stronę to naprawdę zbyt dużo. A ja martwię się, że jesteś tak daleko i w razie jakiegoś wypadku nikt ci nie pomoże.

– Moje zwierzęta – szepnęła w końcu, choć łzy dławily jej gardło. Mućka, Kary, kaczki, kury, gęsi. Gdy zabierali je sąsiedzi, miała wrażenie, że je wszystkie zdradza. Tak patrzyły! Wycie Mućki i rzenie Karego wciąż słyszy, od nowa i od nowa. Ciągle. Ten wyrzut, ten żal.

– Nie bój się o nie, są w dobrych rękach, przecież znasz tych ludzi od lat. – Córka wzięła jej dłonie w swoje i chuchała w nie. Było lato, nie było zimno, ale ręce miała jak kostki lodu. – U nas też są zwierzęta. Na pewno zaprzyjaźnisz się z pieskiem Moniki. To miły szczeniak.

Pies. Kiedyś też miała psa, znajcę, który przyplątał się do jej męża, gdy wracał pewnego dnia ze sklepu. Ulubieniec Staszka, tylko jemu pozwalała na wszystko – drapanie po brzuchu, czołochanie między uszami, zakręcanie ogona. Ona mogła go tylko głaskać. No i karmić. Ale też bardziej niż mąż go ganiła, kiedy biegał za kurami, wzbudzając w nich popłoch i być może, jak u człowieka, palpacje serca. W zabrudzonych frędzlach z zaplątanej sierści wyglądał jak umorusany pyłem anioł na polowaniu. Albo nawet diabeł. Prychał zabawnie na wyrwane pióra zabitego drobiu latające wokół jego nosa. I to jego mlaskanie, gdy oddzielała skórki z resztką pokarmu od kurzego żołądka. Dreptał w miejscu i wachał kiszki, miaucząc jak kot. Gdy prze-

jechał go traktor, przepłakała całą noc. Teraz leży pochowany pod zwalonym konarem i już nikt do niego nigdy nie zajrzy. Staszek zmarł dwa lata temu, ona sprzedała dom. Z tamtego świata nie zostało nic. Oprócz budynku.

„Będę wśród swoich, będę wśród swoich, będę wśród swoich” – powtarzała, siedząc na tylnym siedzeniu samochodu córki. Ale w mieście nie będzie już płotu, gdzieś tam nierównego i połamanego, zupełnie jak ona. Nie będzie tej pochylonej topoli, o którą nieraz się opierała, ani szuwarów przy stawie. Nie będzie niczego, co przez lata ukochała. W mieście nie będzie też ciszy.

Nowy pokój, największy w mieszkaniu, znajdował się od strony ogrodu. Trzy czereśnie, dwa krzaki malin i reszta same porzeczki – czerwone i czarne, jej ulubione. Pośrodku trawnik, na nim żelazny okrągły stół i cztery krzesła, których nóżki zapadnięte nierówno w ziemi nie wyglądały na zbyt stabilne. Mogła wyjść na powietrze, kiedy tylko miała ochotę, ale drzwi balkonowe otwierały się z lekkim stęknieniem, więc wołała poczekać, aż wszyscy wstaną. Nie chciała nikogo obudzić.

– Będziemy z babcią sąsiadkami – cieszyła się szesnastoletnia wnuczka Monika w dniu jej przeprowadzki. Ale próg babcinego pokoju przekraczała raz czy dwa razy w miesiącu. Na więcej nie znajdowała czasu – jak nie szkoła, to odrabianie lekcji. Jak nie odrabianie lekcji, to dodatkowe zajęcia: korepetycje, kółko teatralne i pływanie. Jak nie zajęcia pozalekcyjne, to koleżanki. A potem spać.

Miała swoje łóżko, swoją szafę, mały stolik, lampkę nocną i duże lustro. Co rusz w nie spoglądała i kiedy widziała się smutną, zmuszała mięśnie twarzy do uśmiechu. To było trudne – jakby w kącikach miała uwiązane małe ciężarki.

- Jak się czujesz, mamó? - pytała córka codziennie przy śniadaniu.

„Troska czy poczucie odpowiedzialności?” - zastanawiała się, patrząc jej w oczy.

- Od wczoraj nic się nie zmieniło - odpowiadała jej na od-czepnego, bo ile razy można mówić to samo. A czy ma lekki katar, czy lekką chrypkę, to co za różnica. I tak zajmie się sobą sama. Denerwowała ją ta troska wrzucona pomiędzy chleb z twarogiem a jajka na miękko. Czasem miała wrażenie, że córka w ogóle jej nie słucha. Dlatego raz odpowiedziała:

- Przez noc wyrosła mi trzecia ręka.

Córka pokiwała tylko głową, przełykając łyk kawy z mlekiem. Jedynie mały jeszcze wtedy Kubuś zareagował śmiechem:

- Trzecia ręka?! Mamó, mamó, babci wyrosła trzecia ręka. Gdzie ona jest?

- Co, gdzie, co ty mówisz? - Córka zbudzona nagle z letargu oprzytomniała. - Mamó, czemu opowiadasz dziecku takie głupstwa?

I tyle, jeśli chodzi o codzienną rodzinną troskę. Tak było osiem lat temu.

Teraz czasami opuszcza nawet wspólne śniadania, bo denerwuje ją, że lekko nie dosłyszysz i nie potrafi skupić się na więcej niż jednej osobie. Panuje taki harmider, że nie nadąża za słowami najbliższych. A cała rodzina też jakby jej nie dostrzegała. Przechodzą obok, czasami kładą dłoń na jej ramieniu i uśmiechają się, patrząc na nią przelotnie. Szybki posiłek, szast-prast mycie zębów, ubieranie naprędce i już. Głuchy odgłos zamykanych drzwi. Dom pustoszeje na kilka godzin. A jej wydaje się, że sama zmienia się w jeden z tych nieruchomych, ale trzeszczących ze starości mebli, które są w mieszkaniu. Zna

je wszystkie na wylot – każde pęknięcie w drewnie, każdy słój, każde zarysowanie. Po dwóch tygodniach od przeprowadzki zaczęła mówić do starego zegara z kukułką, kobiet na reprodukcjach obrazów wiszących na ścianach pokoi, do pluszowych zabawek Kuby i Moniki. Nie przeszkadzało jej, że nie odpowiadają. Ważne było, że mogła otworzyć usta do czegokolwiek. Powiedzieć coś.

Wieczorem córka przychodzi zmierzyć jej ciśnienie, spytać, czy zjadła obiad i kolację, a potem idzie do siebie. Jest tak zmęczona, że nie ma sił gadać. Trzeba czekać z rozmową do niedzieli. Bo wtedy zaczynają się odwiedziny. Ubiera się odświętnie, w najlepszą sukienkę i wełniany sweter, zawiesza sztuczne perły od wnuczki, przypina broszkę z bursztynu przywiezioną znad morza przez syna, zamiast kapci wsuwa stopy w pantofle, które gniotą jej palce. Chce wyglądać elegancko. Nigdzie nie wychodzi, więc odcisków się nie nabawi. Nasłucha się wtedy komplementów, które starczą na cały tydzień. Najstarszy wnuk Jasiak przychodzi z żoną i bobasem, wnuczka Monika z narzeczonym, najmłodszy Kuba jeszcze sam, za wcześniej na dziewczynę. Posiedzą po pół godziny, opowiedzą, co robili przez cały tydzień, pokiwają głowami. Uśmiechają się, kiedy mówi im, że też chciałyby być tak zajęta jak oni. Zawsze jej odpowiadają:

– Babciu, babcia nie wie, o czym mówi. Teraz wszyscy zabijają się o byle jaką pracę, żeby tylko ją mieć. Teraz świat pędzi do przodu, a o tych, co zostają w tyle, zapomina. Teraz nie ma czasu na życie. Nic, tylko praca.

Prawnuczek rozrzuca serwetki, karty do pasjansa, gazety i bibeloty, które poustawiała na dolnej półeczce lustra. Po każdym wizycie ma przynajmniej co robić, sprzątanie bałaganu zajmuje niekiedy nawet pół godziny. Raz w miesiącu każde z wnu-

ków dostaje od pięćdziesięciu do stu złotych. Ale chce wierzyć, że nie tylko dlatego do niej przychodzą. Protestują wtedy, że nie chcą, lecz biorą. A ona przynajmniej czuje, że jakoś im pomaga.

Najtrudniejszy był pierwszy tydzień. Gubiła się w mieszkaniu, choć to tylko pięć pokoi. Wychodząc ze swojego, nie mogła na początku skojarzyć, że drzwi z małym szklanym okienkiem są nie od łazienki, ale od kuchni. Łazienka znajdowała się po drugiej stronie długiego korytarza, jak lustrzane odbicie kuchni. Tak samo duża, tak samo z oknem.

Droga z jej pokoju była tak długa, że czasem miała wrażenie, że nie wytrzyma, nie dojdzie na czas. Raz się nie udało i popuściła na świeżo wypastowaną podłogę. Połączenie smrodu moczu z zapachem pasty wybudziło ją z resztek snu. To była noc. Nikt nic nie zauważył. Ściereczkę, którą wytarła podłogę, schowała u siebie za łóżko. Wyrzuciła ją do kosza dopiero rano, kiedy wszyscy już wyszli. A śmieci, gdy sama wyszła się przejść.

Myliła gabinet Zbyszka, męża córki, z pokojem Kubusia. Długo zajęło jej, zanim poznała, kto chowa się za zamkniętymi drzwiami. Tylko swój pokój odnajdywała bez problemu – był na końcu korytarza, ostatni. Obok niego nie było nic prócz dużego fikus.

Kluczyła po mieszkaniu, jakby to był labirynt zakręconych i ślepych korytarzy. Jej stary dwupiętrowy dom z dziewięcioma pokojami powinien nastroczać jej większych problemów, ale nie. Od początku wiedziała, gdzie kuchnia, sypialnia, spiżarnia i pokój gościnny z telewizorem. Tamte ścieżki znała na pamięć. Te były tajemnicą, która wciąż złośliwie się przed nią zamykała. Do czasu.

– Jestem tu jak jakiś intruz – powiedziała córce piątego dnia po przeprowadzce. – Ciągłe wchodzę komuś w drogę, musicie

mnie omijać. Wszyscy cmokacie na mnie, gdy nagle zamiast torby znajdujecie moją dłoń. A ja chcę tylko podać wam tę torbę. Chcę być użyteczna.

– Mamo, no co ty opowiadasz! – obruszyła się córka. – Nikt się na ciebie nie złości za to, że z nami mieszkasz. Kochamy cię przecież. Chcemy, żebyś tu była.

Ona jednak czuła co innego i po śniadaniu szybko wracała do swojego pokoju. Czekwała, aż zrobi się cicho, i dopiero wtedy wychodziła. I tak ma do dziś.

„Człowiek oderwany od życia, do jakiego przywykł, czuje się, jakby go już nie było” – nie potrafiła oderwać się od tej myśli. Powracała do niej jak bumerang. A potem przyszło otępienie. Nagle wszyscy zaczęli wszystko za nią robić, a raczej ona nie musiała robić nic poza myciem się, ubieraniem, spaniem i jedzeniem. Jakby tylko to liczyło się w życiu. Jakby tylko to miało jej wystarczyć. „To taki mój koniec?” – myślała przed zaśnięciem, ale bała się porozmawiać o tym z córką. Nie chciała robić problemów: oboje mieli ich w pracy dostatecznie dużo. Poza tym nie bardzo wiedziała, jak to powiedzieć, żeby ich nie urazić. Bo przecież nie działa jej się tu krzywda. A jednak cierpiała.

– Mamo, ja zrobię to szybciej. – Córka zabierała jej z ręki obieraczkę do warzyw, gdy chciała obrać ziemniaki.

– Mamo, niech mama zostawi to zmywanie – niecierpliwil się zięć. – Mamy przecież zmywarkę. Zrobi to dokładniej i taniej.

– Babciu, zostaw odkurzacz. Ja odkurzę przedpokój, nie musisz tego robić. – Wnuczka wyłączała sprzęt za każdym razem, gdy tylko wciskała guzik z napisem „start”.

– Babciu, my wyniesiemy talerze, nie dźwigaj – mówili, kiedy chciała odnieść po obiedzie chociaż swoje.

– Mamo, nie musisz iść do sklepu. Zbyszek wszystko kupi w supermarkecie – słyszała, gdy chciała pójść i chociaż obejrzeć sklepowe półki.

– A do kościoła mogę pójść?! – krzyknęła pewnego razu, bo nie wytrzymała tego ciągłego odmawiania jej wszystkiego.

– Oczywiście. Zawiozę cię.

– Nie, nie chcę! Chcę iść, sama. Pójść, wyjść, przewietrzyć się, zobaczyć miasto, innych ludzi.

– Zgubisz się, na Boga! Mamo, to jest duże miasto, to nie wieś.

Ale poszła. Nie było jej prawie cztery godziny, bo oczywiście nie potrafiła znaleźć drogi do domu. Nie przyznała się córce. A ta obraziła się na następne trzy dni.

Kościół ją oszołomił. Był wielki pod każdym względem. Wysoki jak kilka wiejskich kościółków, które przy nim zdawały się miniaturkami. Szeroki na łąkę przed jej byłym domem. Tak naprawdę to mógłby się śmiało w nim zmieścić razem ze stodołą, kurnikiem i stajnią. Ogromne kolorowe witraże trochę przerażały potęgą i rozmiarem. Tu anioł z rozłożonymi skrzydłami, tam dwóch apostołów na klęczkach przed Jezusem. Tu Maryja z Dzieciątkiem uśmiechniętym od ucha do ucha, a tam już Jezus na krzyżu. Wszystkie postaci były od niej większe na pewno z pięć razy. „Jeśli tylko” – myślała.

Żeby przyjąć komunię świętą, musiała się naczekać kilka ładnych minut. U niej na wsi po prostu wychodziła z ławki, podchodziła do schodka prowadzącego do ołtarza, klękała i ksiądz już przy niej był. Tu czekała znacznie dłużej. I kiedy tak stała, poczuła nagle jedność ze wszystkimi, którzy czekali tak samo, wraz z nią, na sakrament. I to ją pokrzepiło. W dodatku były to osoby w jej wieku. Jedne trochę starsze,

inne młodsze, ale wszystkie z widocznymi zmarszczkami na twarzach i takim samym smutkiem w oczach. Od tamtej pory chodziła do kościoła co tydzień.

- Tylko żeby nie stała się zaraz moherowym beretem - podслуchała słowa zięcia. - Fanatyczek w domu nie potrzebuję.

- Nie mów tak. To jej naprawdę dobrze robi - broniła jej córka. - Świetnie, że znalazła sobie w końcu coś, co ją cieszy. Martwiłam się, że chodzi z nosem na kwintę, że nie poświęcamy jej tyle czasu, ile powinniśmy.

Otóż to. Była córce wdzięczna, że zrozumiała. Bo chodziło tu nie tylko o religię, ale też przede wszystkim o coś, co mogłaby wreszcie nazwać wyłącznie swoim własnym. Cotygodniowy rytuał, dzięki któremu dobrze zaczynała kolejny tydzień. Dzięki niemu jakoś się jeszcze trzymała.

Kiedyś jej dzień wyglądał tak: wstawiała z łóżka trochę wcześniej niż jej mąż. Szła nakarmić wszystkie zwierzęta. Podśpiewując pod nosem *Czarną Madonnę*, szybkoutko myła się w misce. Gdy Staszek jeszcze żył, smażyła jajecznicę, którą oboje jedli z patelni. Wygrzebując kromkami chleba resztki jajek przy brzegach naczynia, spoglądali przez okno. Bo ze wzgórza rozpościerał się widok na całą okolicę. Po lewej stronie, na dole, zaraz za strumykiem, mieszkali Cieślakowie, po prawej - Krakowiaki. A hen w oddali, za szosą i jedynym sklepikiem w wiosce, były tory kolejowe, po których pociąg przejeżdżał cztery razy na dobę. Dwa razy w jedną i dwa razy w drugą stronę. Za dworcem był las, który sięgał aż Jeleniej Góry. Raz na jakiś czas przejechał drogą samochód, raz na jakiś czas furmanka z sianem lub zbożem. Zimą natura nikomu nie pozwalała się poruszać. Uwielbiała podziwiać o świcie malowidła, jakie na szybach zostawiał mróz.

Po śniadaniu szła wydoić krowę, a mąż wyprowadzał ze stajni konia i jechał albo po zakupy, albo tak sobie, w pole, w las, byle zabić czas. Do obiadu.

Nie rozmawiali ze sobą prawie w ogóle. Ale nie szczędzili sobie całusów, takich znienacka – w usta, policzek, kark czy ramię. Tego brakuje jej teraz najbardziej. Ona mówiła na niego „stary”, on na nią „matka”. I nigdy ani jedno, ani drugie nie powiedziało na małżonka złego słowa.

Po obiedzie znów krzątanie się po zagrodzie – znów zwierzęta, znów ogród, znów gotowanie. Potem kolacja, wieczory przy kartach, krzyżówce lub telewizorze. To ostatnie najczęściej. A na koniec krótki pacierz i spać. Niby nic, a jednak działa się tak wiele. Co dzień to samo, ale mimo to życie miało smak. Ustalone według jej zasad, w zgodzie z jej światem. Teraz tego świata już nie ma. Odpłynął wraz z latami.

Teraz też dzień w dzień to samo, a jaka różnica. Też wstaje, też je śniadanie, ma obok siebie bliskich, ale nie czuje już smaku. Nawet goryczy. Schudła, choć wydaje jej się, że je za trzech.

– Mamo, nie pochowam cię razem z ojcem! Prędzej sprowadzimy jego trumnę tutaj, na nasz cmentarz. – Córka zachnęła się, kiedy pewnego dnia wspomniała o własnym pogrzebie. – Bo kto to będzie jeździł potem na cmentarz tak daleko.

– Ale obiecaliśmy sobie ze Staszkiem, twoim ojcem, że będziemy leżeć oboje na naszym wiejskim cmentarzyku, na wzgórzu, wśród wrzosów. Oboje lubiliśmy te kwiaty, dlatego tak bardzo o nie dbałam. Teraz pewnie marnieją. Wciąż tylko obiecujesz, że pojedziemy posprzątać pomnik ojca. Nie po to wykupiłam grobowiec na nas oboje, żeby Staszek leżał tam sam. Chcę być przy nim.

- Mamo, a czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, jaki będziemy mieć kłopot w przyszłości? Myślisz, że będziemy mieli tyle czasu i zdrowia, żeby pilnować, czy wszystko na cmentarzu jest tak jak powinno? Czy nikt niczego nie ukradł? Może jednak przeniesiemy ojca, a pomnik i miejsce komuś odsprzedamy?

Skrzywiła się na sam dźwięk propozycji.

- Tu na pewno pochowaliby nas osobno. Przecież nie wykupiłaś miejsca na żadnym cmentarzu, prawda?

- A kto to teraz myśli o śmierci i pogrzebach? Póki co żyjemy, więc zapomnij, proszę, o swoim pomysłe, dobrze? Zresztą co to za różnica, gdzie będziemy leżeć, jak umrzemy? Po śmierci niczego nie ma.

- Ja o tym myślę. Dla mnie śmierć i pogrzeb to ważne rzeczy. Nie bluźnij.

Więcej do tematu pogrzebu nie wracały, ale sprawę rozwiązała inaczej. W ostatniej woli napisała, że chce zostać pogrzebana obok męża, pośród wrzosów. Niczego więcej nie potrzebuje, a cały majątek, nad którym córka sprawowała pieczę, i tak zostawia właśnie jej. Synowi podaruje pieniądze, które ma na koncie. Jej zostały minuty do śmierci.

Od ósmej rano patrzy co chwilę na zegar. Ósma pięć, ósma siedem, ósma dziesięć, ósma trzynaście.

„Nie, to nie do zniesienia – myśli każdego dnia. – Tak się nie da żyć. Minuty ciągną się jak godziny. Muszę coś zrobić! Trzeba coś zrobić, inaczej przepadnę”.

Powoli ścieli łożko, trzepie poduszkę kilka razy, wolno nakłada czerwoną kapę, którą zabrała ze starego domu, czule wygładza każdą zmarszczkę na niej. Dostała ją od męża. Gdy jej dotyka, czuje się tak, jakby głaskała jego. „A teraz gnije w ziemi sam. Po co to wszystko?” – wzdycha. Jest ósma trzydzieści siedem.

Znów wzdycha. Idzie do kuchni. Robi sobie drugą już tego dnia herbatę, stara się nie narozlewać, córkę złości widok nawet najmniejszej plamy. Kiedy raz zostawiła cytrynę na blacie, ten lekko się zniszczył od kwasu.

– Mamo, tyle razy mówiłam ci, żebyś nie kładła owoców bezpośrednio na blacie, bo folia się łuszczy. Mamy masę spodków i talerzyków, wybierz któryś z nich, dobrze? – Córka popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby karciała małe dziecko.

Pije herbatę, wygląda przez okno. Na szczęście to kuchenne wychodzi na ulicę, więc widać prawdziwy ruch, a nie tylko poruszające się nieme gałęzie drzew. Bo ile można patrzeć na furkoczące liście?!

Pan ze spaniem wraca ze spaceru. Psu bardziej spieszą, bo smycz naciągnięta jest do granic możliwości. Z naprzeciwka zbliża się kobieta, chyba w jej wieku, niesie dwie torby z zakupami. Oboje zatrzymują się i o czymś rozmawiają. Pies obwąchuje siatki. „Och, jakże i ja chciałabym tak nagle, niby przypadkiem, spotkać kogoś znajomego na ulicy i po prostu zamienić dwa słowa”. Myśl o wyjściu ją cieszy. Jest dziewięta siedemnaście. Wkłada najładniejszy płaszcz, oprósza twarz pudrem należącym do córki, skrapia jej perfumami. W lustrze widzi błyszczące oczy. To jej oczy, co dziwi ją nieco. Dawno nie były tak żywe.

Ulica, przy której stoi dom, jest długa. Przechodzi ją w tę i z powrotem kilka razy, ale nikogo nie spotyka. Entuzjazm trochę w niej gaśnie. Kieruje się do małego sklepu spożywczego, czasem kupi tam jakiś drobiazg, o którym zapomni jej córka. Ekspedientka ją zna, lubi mówić, zejdzie trochę czasu. Jest tak, jak się spodziewała – w sklepie nikogo nie ma.

– Dzień dobry, pani Anno.

- Pani Heleno! - Sklepowa się cieszy. - Jak dobrze panią widzieć. Już dawno pani u mnie nie było, myślałam nawet, że stało się pani coś niedobrego. Martwiłam się, ale bałam się pytać.

„O Boże, ktoś się o mnie martwi” - pomyślała i żeby szybko zatrzymać łyzy przycupnięte tuż na brzegu oka, mówi:

- Nie, nie, wszystko dobrze, dziękuję. Po prostu niczego nie potrzebowałam, córka kupuje mi wszystko, a i deszcz nie nastrojał zbytnio do spacerów. I ten wiatr, tak nie lubię, gdy dmie w uszy, potem chore, wie pani, jak to jest. W dodatku szumi mi w głowie. Ale dziś słońce, więc pomyślałam, że panią odwiedzę. Wszystko u pani dobrze?

- Oj, jak to w dużej rodzinie, cały czas coś się dzieje. Na pewno ma pani to na co dzień. U was przecież też duża rodzina. Ostatnio mąż miał stłuczkę, więc jesteśmy bez auta. A bez auta tutaj to jak bez nogi, do centrum miasta daleko, a towar trzeba jakoś dowieźć. Starszy syn, zamiast uczyć się do matury, gania za jedną dziewczyną, młodszy...

Nie do końca chciało jej się słuchać. Chciała rozmawiać. Mówić. Żywa osoba nie powinna być telewizorem. Patrzy ekspedientce na usta, potakuje głową ze zrozumieniem i uśmiecha się. „Dam się jej wygadać, może potem i mnie wysłucha”.

Ale gdy tak słucha, dochodzi do wniosku, że rodzina ekspedientki jest inna. Nikt nie siedzi całymi popołudniami za zamkniętymi drzwiami, dzieci zwierają się rodzicom, rodzice pomagają dzieciom. Każdy jest dla każdego. Nagle zazdrości sklepowej, że kłóci się z mężem, droczy ze starszym synem, że od rana do wieczora nie ma czasu dla siebie. Bo tu praca, tu gotowanie, tu sprzątanie, tu dzieci. I od razu spać.

Zanim ona położy się do snu, ma wrażenie, że dzień trwał cały tydzień. I w dodatku nie wydarzyło się nic, co mogłaby zapamiętać.

- Pani Aniu, przepraszam, ale nie pamiętam, czy wyłączyłam żelazko - przerywa ekspedientce i szybko wychodzi, bo robi jej się nagle tak smutno, że z trudem powstrzymuje drżenie ust.

Jest jedenasta. Siada na sofie w dużym pokoju i czeka.

Po powrocie córki z pracy wybucha, nie czekając, aż tamta zdejmie kozaki i kurtkę:

- Nie mogę tak dłużej, nie wytrzymam! - krzyczy, a córka patrzy na nią zdziwiona.

- Ale o co chodzi? Coś się stało? - pyta.

- Jestem u was dopiero pół roku, a czuję się, jakbym spędziła w tym domu całą wieczność. Jak w więzieniu! Niczego mi nie wolno: tego nie rób, tamtego nie dotykaj, nie idź, nie bierz, nie przeszkadzaj. Nic tylko siedzę, rozumiesz? To nie jest życie! Taka starość to udręka.

- Mamo, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo zazdrościmy ci tej wolności, spokoju...

- Ja o sobie, a ty o sobie, jak zwykle! Pomyśl, dziecko, czasami o kimś innym niż ty, dobrze?

- Mamo...

- Wydaje ci się, że skoro wzięłaś mnie do siebie, to już nic nie musisz robić? Że obowiązek córki wypełniłaś wysmieniście? Ja kicham na takie życie! Mam ci może być wdzięczna, że mnie przygarnęłaś? Wiesz, jak się czuję? Jak jeszcze jeden mebel wrzucony do twojej jadalni!

- Mamo, boli mnie to, co mówisz...

- To niech boli, nic mnie to nie obchodzi, szczerowość zawsze boli.

- Wydawało mi się po prostu, że jest ci u nas dobrze, że masz wszystko, czego potrzebujesz: spokój, ciepło, brak obowiązków...

- Nie dziecko, człowiek potrzebuje przede wszystkim uwagi, a tutaj jedynie pani Ania ze sklepu zamieni ze mną czasem parę słów. Na waszą uwagę muszę czekać do soboty, a nawet niedzieli. - Wie, że trochę przesadza, ale nie potrafi się powstrzymać. Wie, że oboje - córka i jej mąż - ciężko pracują.

- Jeśli chcesz - mówi cicho córka - to możemy zawieźć cię w sobotę do Adama. Spędzisz trochę czasu nad morzem. - Mały w oczach, przez co budzi w niej ochotę, by przygarnąć swoje młodsze dziecko, ale powstrzymuje się. To byłoby przyznanie racji córce, poddanie się, kompletna porażka.

- Twój brat mnie nie zapraszał - mówi tylko.

- Przecież nie potrzebujesz żadnego zaproszenia, żeby pojechać do własnego syna, mamó! - Córka traci cierpliwość, chwyta za telefon komórkowy. - Adam? W sobotę przywozi mi ci mamę. Co? Na tydzień. - I rozłącza się. - Zadowolona?

Nie, nie jest zadowolona. Jest wstrząśnięta, bo czuje się nagle jak pakunek, który można podrzucić komukolwiek, kiedykolwiek i byle gdzie. Bez pytania jej o zdanie i zgodę. Dochodzi do niej, że córka też jest nią zmęczona, że inaczej wyobrażały sobie wspólne mieszkanie. Zamyka się w swoim pokoju, nie wychodzi na kolację, o dwudziestej kładzie się spać i przesypia do rana. Czeka, aż dom znów będzie pusty. Spodziewa się, że może w kuchni znajdzie małą kartkę z jednym słowem od córki: „Przepraszam”, ale nic tam nie ma. Siedzi przez trzy godziny przy telefonie, bo myśli, że może córka zadzwoni z wyrazami żalu - nic z tych rzeczy. Dlatego pakuje swoje ubrania do walizki. Kiedy córka wraca z pracy,

nie zastaje jej w domu. Widzi puste wieszaki w szafie i wpada w popłoch.

Powie jej o tym dopiero po pięciu godzinach. Tyle zajmują poszukiwania. Policja nie chce się w nie włączyć, od zniknięcia nie minęły dwadzieścia cztery godziny. To, że chodzi o osobę prawie osiemdziesięcioletnią, nie pomaga.

- Zaginięcie to zaginięcie - mówią policjanci. - Musi minąć doba.

Ale ona o tym nie wie. Siedzi najpierw na ławce kilka ulic od domu, a potem w parku koło kościoła. Mało ludzi, jest zimno, wszyscy siedzą w domach w ciepłych kapciach. Też myśli o kapciach i gorącej herbacie z malinami. Gdyby teraz wróciła, to nawet nie zauważyliby, że zniknęła. Niczego by się nie domyślili. Udawałaby, że cały dzień oglądała telewizję. Tylko że wróci i co? Znowu dzień w dzień będzie to samo. Marazm. Nie, nie wróci, niech się dzieje, co chce. Wstaje szybko z ławki, przenosi się do kościoła, klęka i stara się nie przejmować spojrzemiami osób, które siedzą w pobliżu. Bo duża walizka jednak dziwi. W kościele? Próbuje się modlić, liczy na podpowiedź od najwyższego, co powinna zrobić. Ale cisza, nikt nic do niej nie mówi, nie przemawia żaden głos z nieba, nie pojawia się żaden znak. Jest czternasta. Zniecierpliwiona, że nie potrafi podjąć prostej decyzji, podnosi się z kolan, błyskawicznie jak na nią, i już wie - powinna wsiąść w autobus i pojechać do swojej wsi, do dawnego domu, nowi właściciele na pewno nie odważą się odmówić jej noclegu. A co zrobi później, zastanowi się jutro.

Na dworzec PKS nie jest daleko, powinna dojść w pół godziny. „Trochę ciężka ta walizka” - myśli, bo ramię w barku chrzęści z każdym krokiem coraz bardziej. „Dojdę, muszę dojść” - mówi do siebie. Na dworcu okazuje się, że najbliższy

autobus przejeżdżający przez jej miejscowość będzie za dwie godziny. Zdąży coś zjeść w dworcowym barze, napić się czegoś ciepłego. Czuje się, jakby znów miała osiemnaście lat i jechała na najważniejszą wycieczkę życia, jakby zaczynała je na nowo. Emocje są tak duże, że zaczyna się trząść.

- Źle się pani czuje? Chce pani jeszcze coś gorącego do picia? Strasznie pani dygoce - mówi bufetowa.

- Dziękuję, to miłe z pani strony, ale nie. Po prostu jestem trochę zmęczona. Mój autobus odjeżdża dopiero o siedemnastej trzydzieści.

- Może chciałaby pani usiąść wygodniej, na tym barowym stolku niezbyt dobrze dla kręgosłupa i nóg.

Bufetowa nie czeka na odpowiedź, tylko przynosi duże krzesło z miękkim siedzeniem i stawia przed nią. Teraz już wszyscy klienci patrzą na nią. Takiej uwagi ze strony ludzi nie miała już dawno. To miłe, ale jednocześnie nieco denerwujące są wszystkie spojrzenia i szept, których nie słyszy. Zamyka oczy, żeby nie widzieć tych ludzi. I zasypia. Kiedy się budzi, mija osiemnasta trzydzieści. Jest przykryta własnym płaszczem, ale nie pamięta, żeby to zrobiła. Chce jej się płakać.

- Przecież mówiłam pani, o której mam autobus, dlaczego mnie pani nie obudziła?! - krzyczy do bufetowej.

- Przepraszam bardzo, ale ja nie jestem ani od budzenia pasażerów, ani od doglądania kogokolwiek! Widzi pani, ile jest tu osób. Myślałam, że spogląda pani czasami na zegarek. Ja muszę baru pilnować!

Wychodzi z budynku i dopada ją taki ziąb, że od razu wraca. „Dlaczego wszystko jest nie tak, jak trzeba? Dlaczego wszystko jest źle?”

- Nie jedzie pani? - pyta bufetowa.

- Za dwie godziny. Następne połączenie mam dopiero za dwie godziny - odpowiada, ale nie jest już tak pewna, czy powinna jechać. Zanim dotrze na miejsce, będzie po dziesiątej wieczór. Zanim wdrapie się na wzgórze, będzie jedenasta. Czy wolno pukać do czyichkolwiek drzwi o tej godzinie? Prosić o pomoc? To jak jałmużna, jak żebrzy. Co ma teraz zrobić?

Pada z powrotem na krzesło i zaczyna chlipać. Nawet nie czuje łez, tylko bardziej słyszy, jak spływają po suchej skórze policzków. Już nie obchodzi jej, że ludzie patrzą. „Niech patrzą - myśli. Tak wygląda stary człowiek, który nie ma dokąd pójść”. Przesiedzi tak jeszcze dwie godziny, zanim córka znajdzie ją uśpioną i ściskającą obiema rękami walizkę jak skarb.

- Mamo, Boże, jak dobrze, że cię znalazłam. - Przytuliła się do niej, tak jak kiedyś w dzieciństwie, mocno i z całej siły. - Nawet nie wiesz, co czułam przez te kilka godzin.

Milczy, pozwala córce mówić, bo sama nie ma jej nic do powiedzenia. Jest zbyt zmęczona.

- Tak się o ciebie martwiliśmy. Monika wciąż biega po osiedlu i cię szuka. Tylko Kuba został w domu na wypadek, gdybyś wróciła. Boże, co ci przyszło do głowy?! Chciałaś od nas uciec? Dlaczego?

Wciąż milczy. Bierze tylko córkę pod rękę i wychodzą. Kiedy docierają do domu, zięć mówi:

- Mamo, mam wielką prośbę, niech mama nam nigdy więcej tego nie robi.

Ale robi to jeszcze cztery razy, bo poczucia, że ktoś cię szuka, nie da się z niczym porównać. Tylko wtedy ma pewność, że rodzina martwi się o nią i myśli wyłącznie o niej. Ucieka zwykle po kłótni lub cichych dniach, kiedy córka, nawet mierząc jej wieczorem ciśnienie, nie powie ani słowa. To ma być

kara – te kilka godzin niewiedzy i niepokoju. Dotkliwa. Wie, że nie powinno się tak robić. Ale nie może się powstrzymać.

– To jedyna możliwość, by zwróciła na mnie uwagę – tłumaczy ekspedientce. – Może ktoś nazwie mnie złośliwą starą kobietą, ale nie obchodzi mnie to. Będę to robić, dopóki nie zrozumie, że człowieka w moim wieku, a szczególnie własnej matki, nie zostawia się samej sobie przez cały dzień w pustym domu.

Ale do piątej ucieczki nie dochodzi. Po czwartej córka trafia do szpitala z podejrzeniem zawału. A ona w końcu rozumie, że ten dom jest jedynym, jaki będzie miała do końca swych dni. Tak jak niezmiennie pozostaną długie minuty, które będzie obserwować na ściennym zegarze tego dnia i następnego, i następnego. Minuty będą płynąć dopóty, dopóki i ona będzie na świecie. Kiedy jej zabraknie, minuty będą bić dla innych.

Ta myśl trochę ją koi.